

Dookoła Polski z Medycznym Klubem Turystycznym

Podlasie i Chełmszczyzna (cz. I)

Po naszej rowerowej eskapadzie granicznej w roku 2007 chyba nikt nie miał już wątpliwości, że pomysł objechania granic Polski rowerem jest warty kontynuacji.

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCYNY WSI

Nawet Ala Rokicka, która dookoła naszego kraju przejechała chyba kilka razy, musiała przyznać, że to jednak co innego niż zwyczajny rajd rowerowy. „Drogi”, jakie przyszło nam pokonywać rowerem na Roztoczu i Pogórzu, aby zrealizować zasadę nie oddalania się od granicy bardziej niż na kilka kilometrów, szczególnie dały się we znaki właśnie jej starej „szosówce”. Na biwakach nad Bugiem i Wiarem znajdowaliśmy te same okoliczności, które towarzyszyły nam na Ukrainie i świetny nastrój tak bliiski rajdowi pieszemu. Kiedy żegnaliśmy się w Arłamowie było jasne, że musimy to powtórzyć i postarać się zainteresować innych tym sposobem spędzenia wiosennego weekendu.

Podlaskie klimaty

Z nadejściem 2008 roku było już mniej więcej wiadomo, kto tym razem ruszy na rowerowo-graniczny szlak. Oprócz mnie (Piotr Paprzycki), niezawodnej Alicji Rokickiej (Grzegorz Du-





Sielanka Podlasia

rak tym razem wymówił się problemami zdrowotnymi) i jak zawsze gotowego do akcji, przybywającego na pomoc z Anglii Mariusza Nowaka, 17 maja 2008 dołączył do nas adiunkt Kliniki Pneumonologii – Robert Kieszko – nasz towarzysz z Bukowiny i Podola oraz Michał Drózdź – pracownik biblioteki UM, od niedawna członek sekcji wspinaczkowej Medycznego Klubu Turystycznego. Planowaliśmy rozpocząć trasę w Białowieży i podążać na południe, aż do miejsca rozpoczęcia edycji zeszłorocznej, to jest grodziska Wołyni opodal Hrubieszowa.

W 2007 roku towarzyszył nam wczesnowiosenny chłód i wiatr, ale było na obu słonecznie. Tym razem zapowiadała się inna pogoda. Kiedy w sobotni poranek „ekspedycja” załadowana na dwa samochody zmierzała na miejsce startu szosą lubartowską, niebo zaniósł ciężkie chmury, raz po raz wylewające deszcz. I tak już było do końca. Niedosuszone namioty oraz przewlekle wilgotne buty i skarpetki były stałymi atrybutami drugiej edycji rajdu MKT Dookoła Polski. Właściwie tylko na początku i na końcu trasy słońce przywitało nas i pożegnało, jakby

dla zachęty by ruszyć w drogę, czy w nagrodę, że wytrwaliśmy do końca.

Dotarliśmy do Białowieży w strugach ulewy i wobec tak nieprzychylniej aury rozpoczęliśmy rajd od... posiłku i piwa (oczywiście „żubr”) na parkingu przy bramie Parku Narodowego, gdzie obserwowaliśmy powoli gromadzących się biegaczy – uczestników weekendowego maratonu. Białowieża to kwintesencja tej części naszej tra-

sy – miejsce symboliczne. To wspomnienie odwiecznych litewskich puszczy, gdzie polscy (a może bardziej litewscy?) monarchowie uprawiali swoją ulubioną rozrywkę, czyli polowania. Jest równocześnie osadą w samym centrum zwartego zasiedlenia największej polskiej mniejszości narodowej. Byliśmy – jak to zwykle na trasie naszego granicznego rajdu – u siebie, a przecież trochę jakby nie u siebie.



Rudy 102?



Te klimaty obcości wobec naszej swojej „środkowowschodniopolszczyzny” wiązały się oczywiście z bliskością granicy i burzliwą historią, której nie da się pominąć nawet w tym krótkim sprawozdaniu.

Szlak naszego rajdu przebiegać miał przez Podlasie. Podlasie (a w szcze-

gólności obecne województwo podlaskie) to zupełnie co innego, niż kraina historyczna o tej samej nazwie. Już pierwszy rzut oka na polską mapę administracyjną może wprowadzić w pewną konsternację – oto na terenie obecnego województwa lubelskiego znajdziemy Białą Podlaską, Międzyrzec

Podlaski, czy Radzyń... oczywiście Podlaski. Przed katastrofą II Wojny Światowej województwo lubelskie sięgało jeszcze dalej, obejmując obszar historycznego Podlasia, aż po Węgrów, Sokołów i Siedlce. Jego północną granicę stanowiła rzeka Bug, za którą utworzono wtedy równie wielkie województwo białostockie. Sięgało ono z kolei na wschód po Grodno i Wołkowysk na teren obecnej Białorusi. Województwo ze stolicą w Białymstoku nazywa się dziś podlaskim, ale tylko niewielki jego fragment z Bielskiem, Tykocinem i Augustowem to rzeczywiście stare Podlasie.

Aby zatem powiedzieć, że nasze rowery przemierzały rzeczywiście ziemię podlaską trzeba sięgnąć głębiej w czasie. Państwo polskie późno zaprowadziło władzę na tych terenach. Od południa, wzdłuż Bugu napływało tu osadnictwo ruskich Wołynian, którzy podlegali Państwu Kijowskiemu i jego spadkobiercom z Halicza i Włodzimierza Wołyńskiego. Ponieważ były to najdalej na zachód wysunięte dziedziny ruskie, sąsiadujące z Lachami czyli Polakami, nazwano te ziemie Podlasiem. Od północy przez nieprzebyte lasy odwiedzali te tereny, bynajmniej nie w przyjacielskich zamiarach, bałtyccy Jaćwingowie, a po ich wyeliminowaniu przez koalicję Polsko-Rusko-Krzyżacką, Litwini. Podlasie historyczne zaczynało się za Parczewem, do dzisiejszego Węgrowa wdzierało się między ziemie Księstwa Mazowieckie-



**Niedosuszone
namioty oraz
przewlekłe
wilgotne buty
i skarpetki
były stałymi
attributami
drugiej edycji
rajdu**



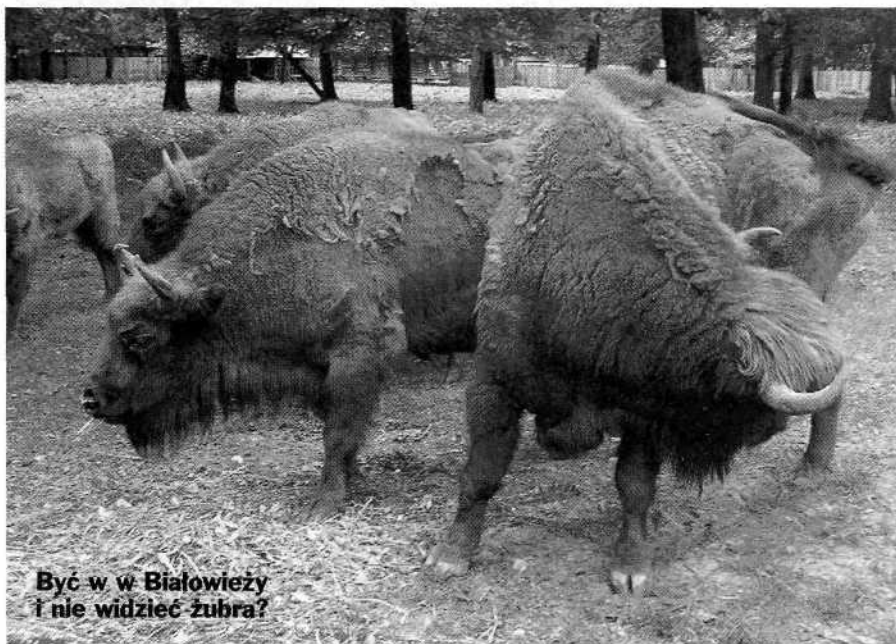
go i za Bugiem, w dorzeczu górnej Narwi i Biebrzy, sięgało tak daleko na północ, jak udało się zasiedlić puszcze.

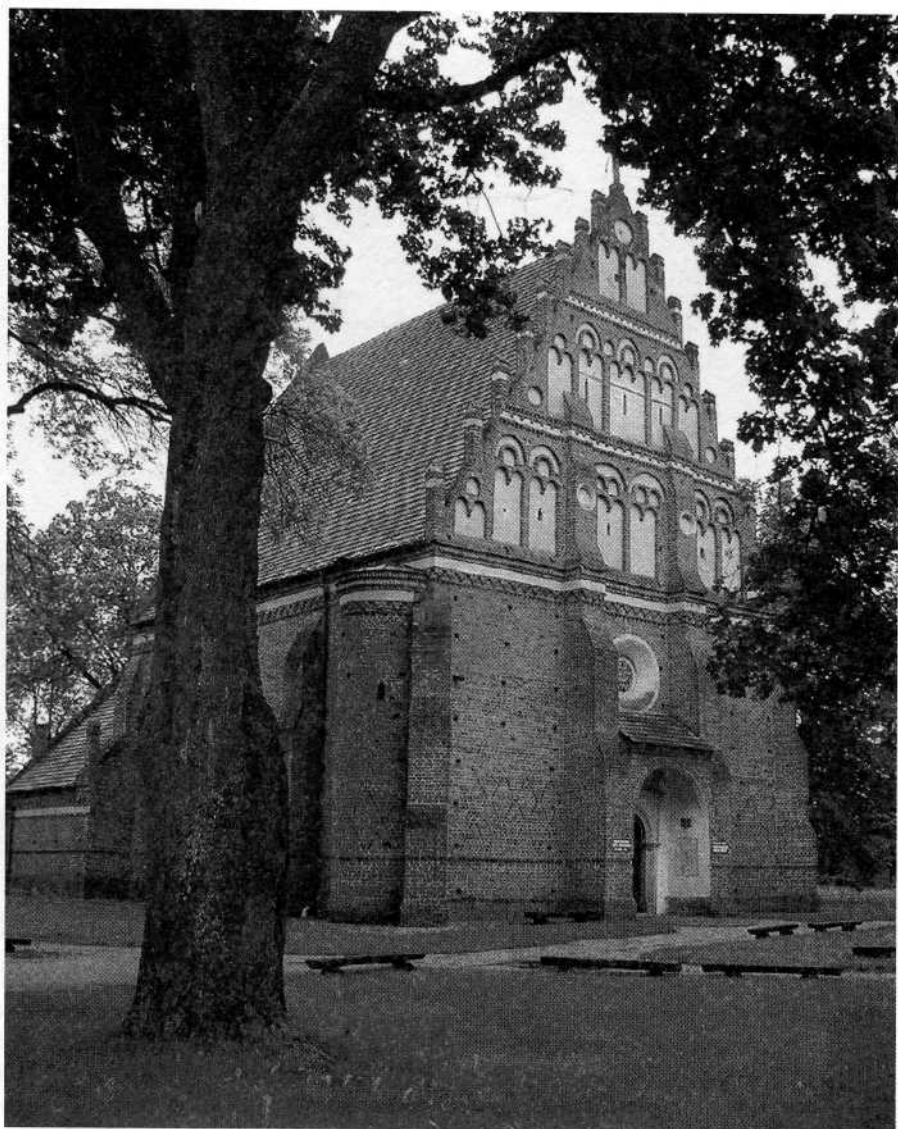
Południowe, nadbużańskie Podlasie z Brześciem i Drohiczyńnem odegrało nawet rolę w historii Rusi, a Drohiczyń stał się na krótko stolicą dużego księstwa, lecz dopiero po podboju Rusi przez Litwę, Podlasie uzyskało bardziej jednoznaczne granice. Mniej więcej w XV wieku, po połączeniu Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony Królestwa Polskiego w jednym państwie, nastąpiło ostateczne ukształtowanie się Podlasia, które związane było z ustaleniem się granicy litewsko-mazowieckiej. W tym czasie granica wschodnia Polski i jej lenna mazowieckiego przebiegała zatem dużo bardziej na zachód niż obecna granica państwowa i podobnie jak wschodnia granica Podlasia była wsunięta w głąb obecnego terytorium Polski. Na początku XVI wieku zalegalizowano ten stan wyodrębniając osobne województwo podlaskie, które w ramach targów związanych z Unią Lubelską król Zygmunt August włączył do Korony. Stan ten utrzymał się do końca pierwszej Rzeczypospolitej.

Reasumując ten długi wstęp, sprawdziłem na mapie, że trasa naszego rajdu, przebiegająca wzdłuż dzisiejszej gra-

nicy, przed rozbiorami przechodziłaby głównie przez terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego (województwo brzeskie), a tylko na małym fragmencie (między Mielnikiem, a Janowem) wkraczałaby do wspomnianego koronnego województwa podlaskiego. Dopiero za Włodawą mieliśmy wjechać ponownie na ziemię przedrozbiorowej Polski, aby aż do Hrubieszowa pozostać w jej województwie... ruskim.

Rozbiory i wojny napoleońskie przybliżyły nieco przebieg granicy do dzisiejszego. W południowej części naszej trasy Bug stał się rzeką graniczną i oddzielił Królestwo Kongresowe od cesarstwa Rosyjskiego. Podlasie na północ od Bugu przypadło niemal w całości Rosji, jako obwód białostocki. Mało brakowało, a po II Wojnie Światowej sytuacja by się powtórzyła. Jedna z wersji przebiegu wschodniej grani-





cy Polski miała nie obejmować Białegostoku, który znalazłby się poza Polską, tak jak Lwów. W takim wypadku nasza wycieczka nie byłaby nadgraniczną, ale transgraniczną i granicę białorusko-polską pewnie przejechalibyśmy na przejściu „Sarnaki-Siemiatyczi”.

Na szczęście to taka *political fiction* nie miała miejsca i tułające się pomiędzy Rosją, Rosją i Białorusią Podlasie historyczne jest teraz w całości w Polsce, nawet wzbogacone nieco na wschodzie.

W ostępach dzikiego zwierza

Tymczasem wypogodziło się nieco i słońce umożliwiło nam wreszcie zapakowanie sprzętu i okulbaczenie rowerów. Pożegnawszy naszych drogiego kierowców (podziękowania dla Marty Kieszki i Sławka Paprzyckiego za

bezpieczne dostarczenie ekipy na miejsce) ruszyliśmy w drogę tuż za biegaczami, choć nieco w inną stronę. Białowieża sama wymagałaby kilku dni oglądania, tym bardziej, że sieć dróg leśnych, tzw. trybów, wytyczonych przez carskich leśników świetnie udostępnia puszcę dla turystyki rowerowej. Mieliśmy jednak za mało czasu – trzeba było jeszcze tego dnia znaleźć miejsce na biwak już poza rezerwatem. Nie zobaczyliśmy zatem unikalnego porcelanowego ikonostasu w tutejszej cerkwi, ani dawnego dworca na którym przyjeżdżający do myśliwskiego pałacyku Car Wszechrosji mógł się czuć równie swojsko jak wszędzie w głębi swego państwa. Za to nasi fotografowie mieli okazję uwiecznić skansen, królewskie dęby i rezerwat pokazowy żubrów – no bo być w Białowieży i nie widzieć żubra?

Potem wskakujemy na rowery i obok ładnego, nowego, ale smętnie bezładnego przejścia granicznego, gdzie oficjalnie rozpoczynamy trasę uciekamy w las. Natychmiast robi się pusto, ludzi ani śladu, gęste ostępy, przydrożne bagienka i oczywiście komary. Gruntowa droga dłuży się niemiłosiernie. Jedziemy i jedziemy pogrążeni w odgłosach lasu, furczeniu opon i czasem zgrzytaniu łańcuchów, które trzeba już potraktować smarem. Na naszej topograficznej „setce” droga jest wytyczona prosto jak od linijki. Podobnie prosta linia granicy, którą kolorowym ołówkiem osobiście wyznaczył Stalin – na zdjęciu satelitarnym ciemna krecha na zielonym kożuchu lasu – bez najmniejszych sentymentów do dzisiaj przecina na pół całe wsie.

W małej śródlęsiej osadzie letniskowej Topiło „łapiemy” znowu asfalt i dajemy się zatrzymać lenistwu. Nad pięknymi stawami mile przygrzewa słońce, gaworzymy zakąsiwszy co nieco; nawet komary jakby odpuściły. Za Topilem wilgotne grądy białowieckie przechodzą w suche bory, rozrywają się przedzielone coraz większymi polanami z osadami letniskowymi. Droga prowadzi obok niczym już nie wyróżniającego się miejsca w lesie, gdzie stał sowiecki obóz dla AK-owców. Nieopodal inaugurujemy pierwsze przebicie dętki – ofiarą pada rower Roberta Kieszki. Radzimy sobie jednak sprawnie i pędzimy dalej. Wieczór zastaje nas w nadgranicznej miejscowości Opaka o dość typowym dla dzisiejszej białostockizny wyglądzie. Najpierw Rosjanie zabrali stąd „swoich” w czasie I Wojny Światowej. Jeśli miejscowym udało się wrócić, musieli znowu wyjechać na Białoruś w ramach przesiedleń kończących następną światową zawieruchę. Ci, co mimo to wciąż tu pozostali, zestarzelili się i poumierali, a ich dzieci pouciekały do miast zostawiając po sobie rozpadające się siedliska.

Opodal szkieletu walącej się stodoły i szczątków zarastającego sadu, za radą miejscowego sympatycznego sołtysa (wypisz wymaluj sobowtór Prezydenta Łukaszenki) postanowiliśmy zatrzymać się na noc. Próbowano nas wprowadzić przestraszyć bajeczkami o żmijach wygrzewających się na pasie granicznym, ale nie zrobiło to na

naszej zaprawionej w biwakach ekipie żadnego wrażenia. Za to wrażenie wywarło niemal natychmiastowe zjawienie się trzech strażników granicznych (w tym oficera w cywilu), którzy niezwykle uprzejmie i profesjonalnie wzięli nas na spytki, po czym przypomnieli, aby nie próbować przypadkiem wchodzić na świeżo zaoraną drogę graniczną. Obserwacjami, co do pracy oddziałów naszej Straży Granicznej, dzieliłem się już przy okazji sprawozdania z zeszłorocznej edycji rajdu chwalać Oddział Nadbużański. Tym razem Nadbużańska straż nie wykazała się niczym szczególnym – nie odpowiedziała nawet (jak rok wcześniej) na zawiadomienie o rajdzie. Czyżby miało to związek ze zmianą komendanta? Za to po spotkaniu w Opacie musimy pochwalić Oddział Podlaski – tak trzymać!

Wieczór zapadał piękny. Nad łąkami i strumieniem zebrały się mgły, które powoli przypęzły do wsi przechodząc niczym widmą przez rozwalone wrota stodoły. Ku niezadowoleniu miejscowych psów i zadowoleniu miejscowych komarów siedzieliśmy jeszcze długo po kolacji i rozmawiali o tym co było i o tym co będzie.

W sercu polskiego prawosławia

Poranna pogoda była jeszcze ładna. Po obejrzeniu pasa granicznego w Opacie (oczywiście bez wchodzenia!) i tradycyjnym zaliczeniu słupka, ruszamy dalej. Jedziemy sobie spokojnie mijając wioski, w których więcej już domów letniskowych niż chat „tutejszych”. Za to co krok spotykamy cerkwie – jakże inaczej wyglądające niż te na Hrubieszowszczyźnie, Roztoczu i Pogórzu. Tamte zwykle przysadziste, w kolorze drewna, jakby zestrojone z krajobrazem, ale niestety w większości zaniedbane, puste lub zamienione na kościoły. Tutaj wyposażone są w czubate wieżyczki, jaskrawo niebiesko lub jasnobrażowo malowane, może trochę mniej gustowne, ale żywe – ciągle służące wyznawcom wschodniej liturgii.

Inna historia, inni ludzie, inne świątynie. Ze względu na przyłączenie Białostocczyzny do Rosji, gdzie niemal natychmiast skasowano kościół unicki, prawosławie szybko odrobiło straty poniesione w Pierwszej Rzeczypo-

spolitej. Miejscowi Rusini, czy to pochodzący z południa przodkowie dzisiejszych Ukraińców, czy też napływający wprost ze wschodu, których dziś nazwalibyśmy Białorusinami, tutaj na północ od Bugu wrócili na łono prawosławia w jego wersji moskiewskiej i trwają w nim do dzisiaj. Wyznanie utożsamiało się na tych ziemiach z narodowością białoruską i pomaga w określeniu się tej największej polskiej mniejszości narodowej. Nie ma się co dziwić, że próby rewindykacji katoli-

cyzmu w Polsce międzywojennej, prowadzone często mało finezyjnymi metodami, nie specjalnie się tu powiodły. Zaś po II Wojnie Światowej z powodów ideologicznych nacisk polonizacyjny ustąpił i prawosławie mogło się na tym zwartym obszarze jeszcze bardziej umocnić.

Ponieważ białoruskie cerkiewki i cmentarzyki wyrastały co krok na naszej trasie, musieliśmy niektóre po prostu z żalem omijać. Na miejsce dłuższego postoju zaplanowaliśmy, leżącą



„Drogi”, jakie przyszło nam pokonywać rowerem, aby zrealizować zasadę nie oddalania się od granicy bardziej niż na kilka kilometrów





tuż przy samej granicy, Koterkę. W 1912 roku pewna wiejska dziewczyna zbierała tutaj dziki szczaw na wysepce pośród leśnego bagna. Ponieważ było to w niedzielę, zakończyło się osobistą przestrogą od samej Matki Boskiej. Poinformowany miejscowy proboszcz wkrótce doprowadził do wybudowania na bagnie cerkiewki, która rychło stała się miejscem pielgrzymek. Corocz-

nie to odludne miejsce ożywa setkami pobożnych chrześcijan, którzy oprócz modlitwy wykorzystują też uzdrawiającą moc wody z tutejszego źródła.

Postanowiliśmy i my skorzystać z uzdrawiającej mocy i przy pomocy ożywczej wody przygotowaliśmy wspaniałą obiad z użyciem wszystkich naszych kulinarnych umiejętności – szczególnie podziwialiśmy sałatkę Mariusza. Zapa-



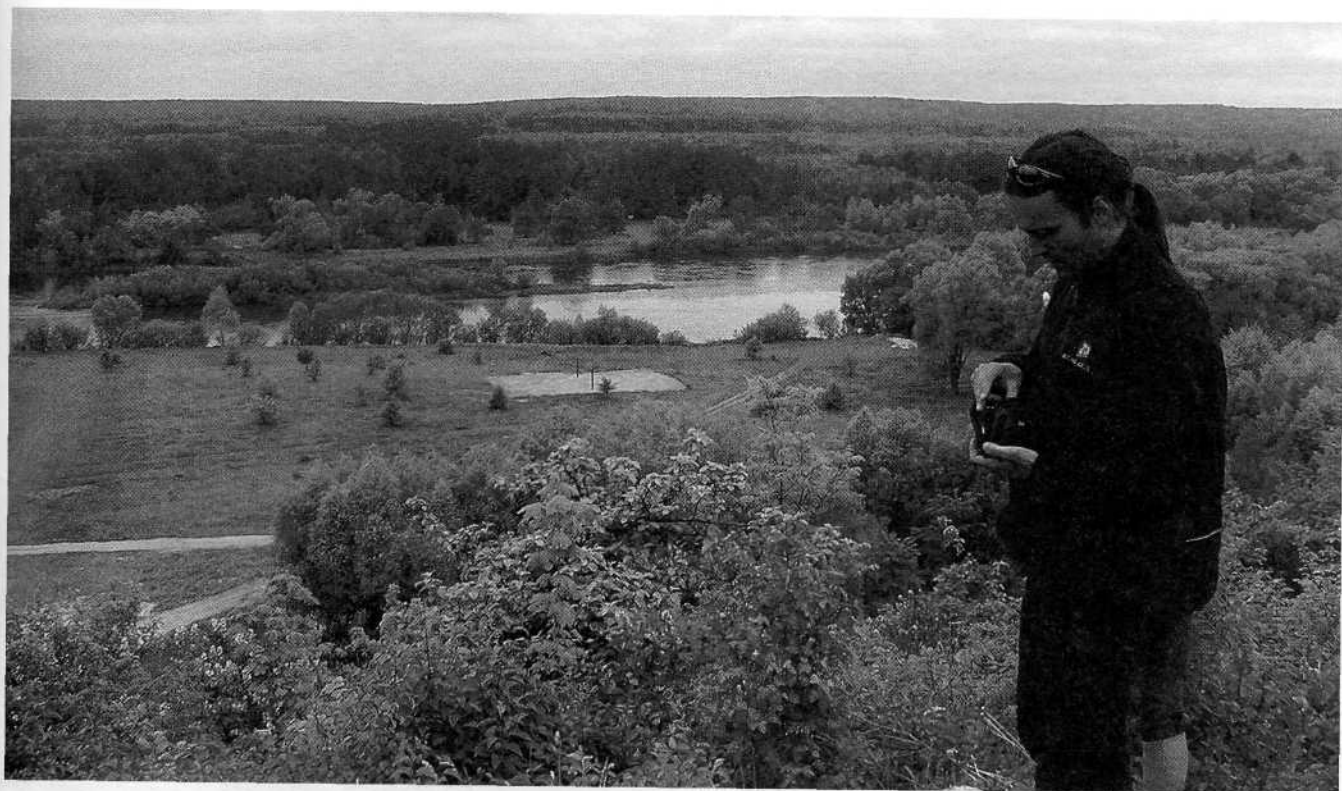
chy pewnie poirytowały dwóch młodych i sympatycznych strażników granicznych pełniących służbę przy cerkwi.

– Pewnie panom fajnie siedzieć sobie w takim pięknym i spokojnym miejscu?

– Nie za bardzo, raczej strasznie nudno – odpowiedzieli i odjechali, tajemniczo przestrzegając przed zbliżaniem się w tym miejscu do granicy. Oczywiście natychmiast po ich odjeździe zapuściliśmy obiektywy naszych aparatów za szlaban, ale nie wypatrzyliśmy niczego podejrzanego po wschodniej stronie. Rozczarowani, wróciliśmy więc do błędnego lenistwa – sprzyjało temu wyglądające na chwilę zza brzydkich chmur słońce. Cerkiew w Koterce to jedyny budynek w głębi leśnego uroczyska, a przez bagno prowadzą do niej zadbane grobla i mostek dla pieszych. Dodatkowy nastrój stwarzają liczne stare, zgrzybiałe, prawosławne krzyże postawione wokół świątyni przez pątników i całkowity spokój oraz brak turystów.

Tym większy kontrast stanowiło dla nas zgromadzenie ludzi w pobliskiej miejscowości Tokary. Zajechaliśmy tam tuż po niedzielnej mszy pierwszokomunijnej, odbywającej się w od zawsze katolickim kościółku przypominającym góralskie świątynie. Miejscowy kościelny z dumą pokazywał nam odnowiony, drewniany kościół, kapliczkę i tablice pamiątkowe dziedziców oraz tutejszej polskiej konspiracji z czasów ostatniej wojny. Pokrzepieni tym dowodem, że Polska jest tu nie od dziś i nie tylko na mapie, ruszyliśmy na spotkanie największej świętości polskiego prawosławia – Grabarki. Krajobraz tymczasem zmienił się nieoczekiwanie, białowieska równina zaczęła się powoli marszczyć, aby w miarę zbliżania się do Bugu przejść w prawdziwe „góry” zwane przez miejscowych Sypanymi. Kilka niezłych podjazdów zmusiło nas do mocnego naciśnięcia na pedały, tym bardziej, że słońce znowu schowało się za niskie, ołowiane chmury. Na jednym z takich piaszczystych, zalesionych wzniesień, dość znenacka wśród sosn wyłoniły się złoczone kopułki cerkwi i budynki żeńskiego klasztoru prawosławnej Jasnej Góry.

Nastrój tutaj był zupełnie inny niż w Koterce. Mimo, że do letniego Święta Spasa, które gromadzi tu tysiące lu-



dzi było jeszcze daleko, przy majowej niedzieli zeszło się dużo wiernych i jeszcze więcej turystów. Przy źródle u podnóża góry, z którego woda miała obronić mieszkańców od zarazy na początku XVIII wieku było bardzo tłoczno. Nie lepsza sytuacja panowała na parkingu, gdzie rozłożyli się sprzedawcy z pamiątkami. Gwar sprawiał, że atmosfera stała się mało kontemplacyjna. Egzotycznie ubrane mniszki przemękały między ludźmi zajęte swymi sprawami, a las tysięcy krzyży wokół cerkwi roił się od ciekawskich. Próbowaliśmy znaleźć jakieś motywy

dla naszych obiektywów i choć na chwilę poczuć magię tego miejsca, ale było to trudne zadanie.

Z godziny na godzinę od zachodu ściemniało się i słychać było coraz bliższe odgłosy burzy – czas szukać schronienia na noc. W pierwszych strugach ulewnego deszczu osadziliśmy w cuglach nasze „rumaki” przy tabliczce „kwatery agroturystyczna” we wsi Radziwiłłówka (dawniej Radziłówka, ale widać było to za mało szlachetnie). Właściciel domu okazał się człowiekiem towarzyskim i wkrótce wyszło na jaw, że pochodzi z Lubelszczyzny, bo długo

pracował w puławskich „Azotach”. Na śniadanie dostaliśmy świeżych jajek i mimo ponurej pogody podziwialiśmy z balkonu domu malowniczą, niemal beskidzką okolicę. Nawet telefony komórkowe, odbierające na naszej trasie tylko w szczególnych miejscach starały się utwierdzić nas w przekonaniu, że jesteśmy w górach.

Podlaska „Szwajcaria”

Mieszkańcy dawnego kadłubowego Królestwa Kongresowego lubowali się w nadawaniu niektórym pagórkowatym okolicom nazwy Szwajcarii, jakby to miało im zrekompensować brak prawdziwych gór. W ten sposób powstały Szwajcaria Suwalska, Szwajcaria Kaszubska, a także Szwajcaria Podlaska, czyli Podlaski Przełom Bugu. To oczywiście gruba przesada, ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się aż takich pagórków. Działalność erozyjna dużej rzeki, która tutaj wdarła się nie tylko w polodowcowe piaszki i gliny, ale nawet w leżące pod nimi złoża kredy sprawiła, że przy samym Bugu różnica poziomów sięga ponad 50 metrów!

C. D. N.



Fotografowali: Piotr Paprzycki, Mariusz Nowak, Robert Kieszko, Paweł Krawczyk, Alicja Rokicka

Dookoła Polski z Medycznym Klubem Turystycznym

Podlasie i Chełmszczyzna (cz. II)

Po naszej rowerowej eskapadzie granicznej w roku 2007 chyba nikt nie miał już wątpliwości, że pomysł objechania granic Polski rowerem jest warty kontynuacji.

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCyny WSI

Teraz znalazła się na naszej drodze największa „przeszkoda wodna”. W nadziei znalezienia przeprawy zjeżdżamy w dół pomiędzy domami miasteczka Mielnik rozłożonego malowniczo na urozmaiconej nadrzecznej skarpie. Najpiękniejszym chyba miejscem Mielnika jest wystające głęboko w dolinę wzgórze zamkowe. Wdrapawszy się na zakrzaczony szczyt podziwiamy wspaniałą panoramę rzeki i gęstych lasów po drugiej, „lubelskiej” stronie. Poniżej wzgórza, pośród starych drzew znajdują się całkiem jeszcze okazałe ruiny kościoła zamkowego; a na stokach resztki średniowiecznych murów. Natomiast na samym szczycie – znak historii – fundamenty postawionej przez Rosjan kaplicy Aleksandra Newskiego, nie przetrwały niepodległej Polski. Tak i Mielnik, kiedyś ważne miasto, w niepodległej Polsce stał się malowniczą dziurą pozbawioną nawet mostu. Bug wezbrał po burzy, stał się szeroki i pe-





len wirów, a w wodzie odbijały się szare chmury. Rzeka stanowczo zniechęcała do prób przekroczenia go na własną rękę, tymczasem promu nigdzie nie było widać.

Wreszcie zjeżdżamy za znakami nad brzeg, ale tu czeka nas przykra niespodzianka. Prom nieczynny. Wedle słów miejscowych ktoś po prostu ukradł linę (sic!). Smętnie stoimy koło wyciągniętej w trzciny platformy i zamkniętego szlabanu, dyskutując co dalej robić. Najbliższy most jest jakieś 20 km w dół rzeki w Siemiatyczach, ale w ten sposób dużo oddaliliśmy się od granicy. Jest pewna szansa jakieś 15 km w górę rzeki. Tam, niemal w miejscu, gdzie granica biegnąca z południowego wschodu wzdłuż Bugu, nagle pod kątem prostym odskakuje łądem na północ we wsi Niemirów, przewodniki, mapy i zdjęcia satelitarne pokazują drugi prom. Robimy zatem w lewo zwrot i ruszamy na wschód, ryzykując w razie niepowodzenia przeprawy nadłożenie prawie 50 km.

Za niecałą godzinę, jeszcze przed południem zatrzymujemy się w Niemirowie, najpierw przy ładnym kła-





sycystycznym kościółku, a potem przejechawszy wyboistą, gruntową drogą, pośród wielkich starych wierzb, twarzą przed szlabanem promu. Prom niby stoi (i z liną!), ale brak żywego ducha i tylko Bug pluszcze. Jesteśmy co-
kolwiek skonsternowani. Chwytam za komórkę, która na szczęście działa i dzwonię pod wskazany na tablicy numer przewoźnika. Po dłuższej chwili odzywa się głos starszej kobiety:

- Syna ni ma, wnuczek złamał nogę.
- To kiedy wróci, bo my tu czekamy przy promie?
- Ni wiadomo, no ni wiadomo. Do Simiatycz pojechały. Może synowa by mogła...
- No...?
- Ale też pojechała.

Nie uchybiając naszym siemiatyckim kolegom po fachu zgodnie stwier-

dziliśmy, że jest nikła szansa, aby uwinęli się z nogą wnuczka przewoźnika przed wieczorem. W minorowych nastrojach siadamy rozweselić się pod sklepem spożywczym – jeśli mamy czekać, to nie ma co tracić czasu. Można choćby posilić ciało, a i dla duszy coś się znajdzie. Nieoceniona Ala bierze tymczasem na spytki panią sklepową.

– Jakaś łódka? A tak. Ma tu jeszcze jeden taki, tam za mostkiem. Ale więcej chyba nikt.

A więc, *spiramus speramus*. Czym prędzej pędzimy do wskazanej zagrody, gdzie przedstawiamy sprawę. Gospodarzowi wyraźnie iskrzy w oczach – to dla niego chyba nie tylko okazja do zarobku, ale i do rozrywki. Zabieramy się na dwie tury, bo łódka jest mała i mocno chybota. Przewoźnik mimo podeszłego wieku pewnie napiera na wiosło pychowe i szybko rozprasza wszelkie nadzieje na jakieś dodatkowe mrozące krew w żyłach atrakcje związane z przeprawą. Jest okazja obserwować rzekę z bliska – od powierzchni wody dzieli nas kilkadziesiąt centymetrów. Pykają aparaty fotograficzne. Kiedy to ostatni raz tak przeprowałem się przez wielką rzekę małą łódeczką? Dwadzieścia, nie trzydzieści lat temu? Nie mijają 15 minut i już jesteśmy na drugim brzegu. Szkoda, że tak szybko.

Znowu zaczynał pokapywać deszcz, w miarę jak mijały godziny popołudniowe, coraz to większy. Szybko prze-





skoczyliśmy szosą w stronę Janowa Lubelskiego i zajrzeliśmy do dawnej katedry biskupa podlaskiego z pomnikiem tegoż biskupa Adama Naruszewicza. Potem skręciliśmy w stronę słynnej stadniny w Wygodzie. Ponieważ tam lało już równo, schroniliśmy się w małym hoteliku na smaczny i ciepły posiłek. Dopiero, kiedy zdawało nam się, że opad trochę zelżał, usiedliśmy na mokre siodełka aby zwiedzić stadninę w Janowie.

Czy to z powodu ponurej aury, czy też obfitego posiłku stadnina nie zrobiła na nas szczególnego wrażenia. Malowane kiedyś na biało budynki zabytkowych stajni teraz były szare i pozaciekane, alejki nierówne, a trawniki zarośnięte. Zrobiliśmy tylko szybkie (by nie zamoczyć aparatów) pamiątkowe fotki na tle stajni i znowu ruszyliśmy w drogę... Niestety, nie jestem w stanie opisać dalszej trasy, bo – wstyd powiedzieć – zabłądziliśmy. Aby skrócić sobie trasę wyjechaliśmy ze stadniny na nadbużańskie łąki poprzeraślane niewielkimi zagajnikami. Błoto, mokry piach i kałuże wody, wysoka trawa i drogi nieoczekiwane kończące się w lesie lub nad Bugiem to tylko

część atrakcji, jaką sobie zafundowaliśmy tego popołudnia. Kiedy wreszcie przemoczeni, zziębnięci, po dwóch godzinach jazdy tam i z powrotem „wypelzaliśmy na suchy ląd” przekonani, że musimy się znajdować co najmniej pod Pratulinem, oczom naszym ukazała się ta sama stajnia pod którą robiliśmy pamiątkowe zdjęcia. Czyżby zemsta niedocenionej stadniny? Przyszło nam znowu przeprosić się z terepską szosą.

Tego dnia mieliśmy już dosyć jazdy. Nasze rowery zaczęły także odmawiać posłuszeństwa. Strzelające co chwilę mechanizmy przerzutek i trzeszczące łańcuchy na gwałt domagały się czyszczenia i smarowania. Przy pierwszej okazji skusiło nas ładnie uporządkowane podwórze z obszernym przystrzyżonym trawnikiem.

– Postanowiliśmy zanoć u Pani – oznajmiła Alicja nieco przestraszonej na nasz widok gospodyni.

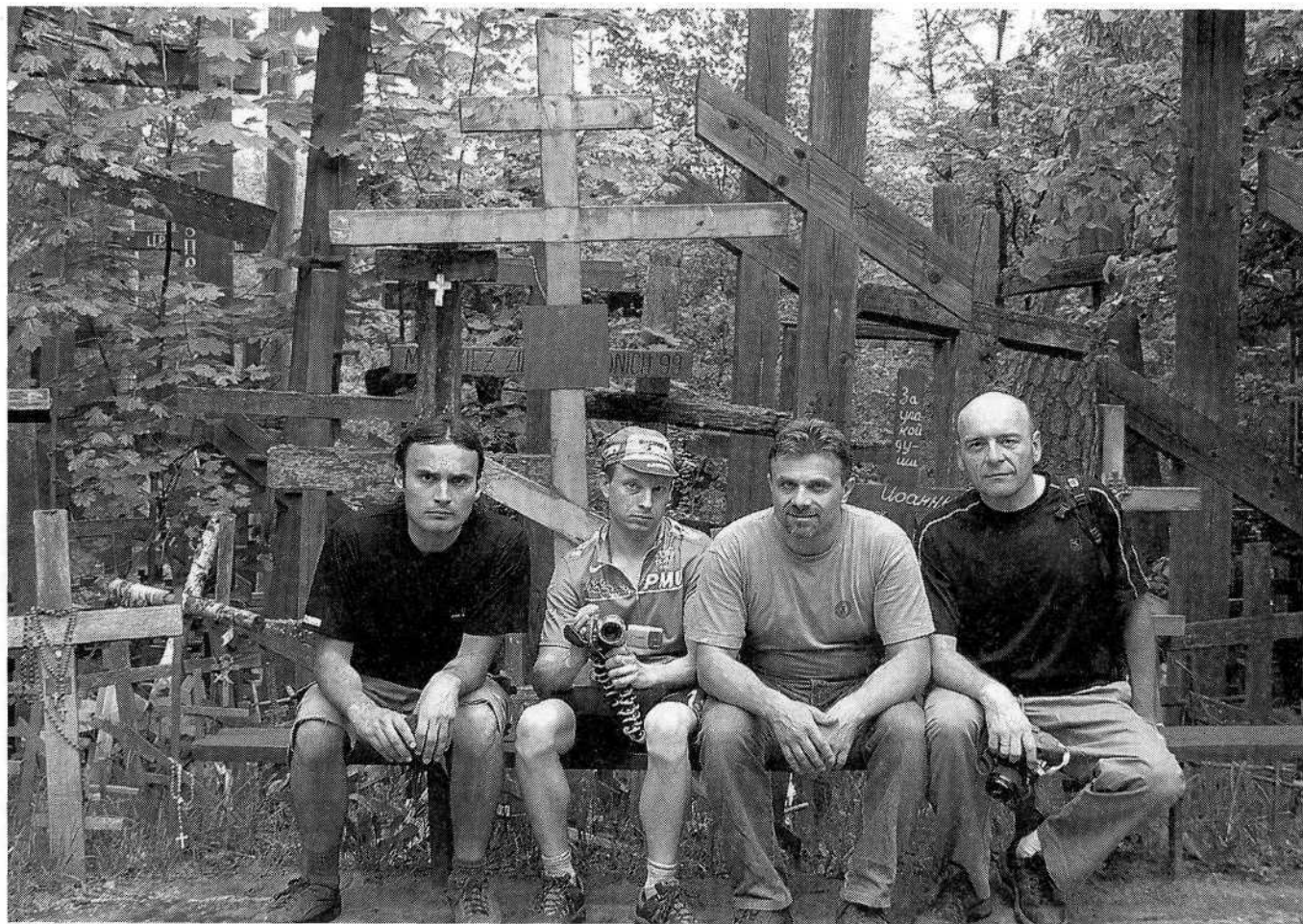
– Spokojnie, potrzebujemy tylko podwórza i wody, mamy namioty – uspokajamy zaraz i uśmiech ulgi (a może politowania) pojawia się na jej twarzy. Niemal natychmiast po rozbiciu obozu zmęczenie mija nam jak ręką

odjął. Kolacja, ciepła herbata, coś mocniejszego na rozgrzewkę, nawet deszcz jakby się zlitował i jest dość ciepło. Są nawet pozytywy – nie ma komarów.

Cztery wiary, cztery historie

Następne dwa dni naszego rajdu obfitowały w nowe wydarzenia i ciekawe miejsca. W Jabłecznej spotkaaliśmy wreszcie Prezesa z rodziną, którzy od tej chwili do końca już towarzyszyli nam jako nieformalny „wóz techniczny”. Wprawdzie Paweł Krawczyk usiłował też przyłączyć się do nas rowerowo, ale obowiązki rodzinne skutecznie mu to utrudniły. Co innego na postojach – pod przewodem Prezesa Klub mógł integrować się dogłębnie i skutecznie. Mottem jednak tej części nie były okoliczności towarzyskie, co raczej krajoznawcze (przyrodnicze i historyczne).

Za Janowem ciągnie się nadal głęboka dolina podlaskiego Przełomu Bugu. Szczególnie piękna w pobliżu miejscowości Neple. Spływające do rzeki wody opadowe rozmywają tu luźne lodowcowe piaski tworząc niesamowite urwiska i wąwozy. Nie mogliśmy nie za-



trzymać się nad takim malowniczym urwiskiem, na przygotowanym leśnym biwaku, udało się nam nawet rozpalić ogień i upiec kielbasę na południowy posiłek. Nieco dalej Mariusz Nowak przejął znielacka prowadzenie i zawiódł nas w jeszcze dziksz ostępy, gdzie w pewnej chwili z powodu zwałonych drzew oraz stromych wzniesień musieliśmy porzucić obciążone rowery i już pieszo przeprowiać się przez gęsty las, który w tym miejscu zarastał polski brzeg. Znowu było pusto i ani śladu turystów. Natomiast były ślady działalności międzynarodowych, polsko-białoruskich bobrów w postaci zwałonych do rzeki i poobgryzanych pni. Znaki te wyraźnie świadczyły, że zwierzęta mają tu spokój od ludzi.

Z dala od szos naszą podróż urozmaicały też inne artefakty. Był między innymi sterczący pod lasem czołg T34, pozostawiony jakoby na pamiątkę forsowania w tym miejscu Bugu przez kościuszkowców, co wobec wysokiego na 50 metrów urwistego brzegu świadczyłoby o niesamowitej sprawności tech-

nicznej sowieckich wozów bojowych. Z kolei tuż przed Pratulinem ujrzeliśmy także jedną ze słynnych i tajemniczych bab nepelskich, wyrzeźbionych w narzutowym granicie przez przedchrześcijańskich twórców, w formie dziwnych ni to krzyży ni to ludzkich postaci. I właśnie od jednej z takich „bab” rozpocznę opowieść o śladach czterech (a może i licząc pogańską, nepelską figurę – pięciu) wyznań na naszej drodze.

Otóż granitowa rzeźba, którą oglądaliśmy stała na grobie 13 podlaskich unitów z Pratulina, którzy zginęli w obronie swojej cerkwi i zostali przez kościół katolicki zaliczeni w poczet męczenników. Czego by nie mówić na temat kontrowersyjnej unii kościołów w Polsce za panowania Zygmunta Waży, nie da się zaprzeczyć, że do rozbiórów Unii, czyli katolicy obrządku wschodniego stanowili już wyraźnie określoną, odrębną społeczność. Zbliżenie się liturgii unickiej do rzymskiej sprzyjało identyfikowaniu się miejscowych, jako grupy wyraźnie różnej

od prawosławnych Rusinów, czy Moskali i niewątpliwie pogłębiało ich związek z państwowością i kulturą polską. Tak właśnie było w Królestwie Kongresowym, gdzie autonomia umożliwiła przetrwanie unickiej diecezji chełmskiej po zlikwidowaniu unii na wschód i północ od Bugu. Zupełnie inaczej sprawa się miała w Galicji, gdzie unia cieszyła się swobodą i z czasem unicy zaczęli się utożsamiać z narodowością ukraińską.

Kiedy w ramach „porządkowania” buntowniczego Kraju Priwislanskiego w drugiej połowie XIX wieku, rząd carski postanowił przywrócić unitów Podlasia na łono prawosławia, zaskoczeniem stwierdzono, że zostali oni już mocno „zepsuci” przez katolicką propagandę i wcale tego dobrodziejstwa nie chcą. Co więcej, 26 stycznia 1874 roku w wiosce Pratulin okazało się, że za swoje przekonania są w stanie poświęcić życie. Tylko dzięki rozsądkowi i sumieniu co odważniejszych szeregowych rosyjskich żołnierzy, którzy po prostu źle celowali, w skłębio-

nym wokół małej drewnianej cerkwi tłumie, zginęło tylko 13 osób. Dziś po pratułińskiej cerkiewce nie ma śladu, brzydkie miejsce po niej znaczy nieładna tablica. We wsi stoi duży klasycystyczny kościół katolicki – niezbyt popularne miejsce pielgrzymkowe, w którym unici są upamiętnieni wielkim obrazem. Wokół kościoła znajdują się tablice, nic konkretnego i rzetelnego nie mówiące o zasadach unii ani o jej historii. Można tę sytuację zinterpretować jako zawłaszczenie przez rzymskich katolików męczeństwa swoich unickich braci.

Kiedy po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 unici nie musieli już praktykować swojej wiary w tajemnicy, katolicki episkopat polski obawiając się, że po podporządkowaniu hierarchii unickiej pochodzenia ukraińskiego, Podlasiacy staną się Ukraińcami, nie zajął jednoznacznego stanowiska. Kiedy próbowano tworzyć tak zwane parafie neounickie, czyli obrządku wschodniego podporządkowane miejscowemu biskupowi rzymskiemu, większość dawnych unitów po prostu wolała przejść od razu na katolicyzm rzymski. I tak straciliśmy unitów. Choć nie całkiem, bo do dziś funkcjonuje w nadbużańskich Kostomłotach jedyna w Polsce parafia neounicka.

Jak mogła wyglądać cerkiew w Pratułinie mogliśmy zobaczyć w pobliskim Krzyczewie, gdzie miejscowy proboszcz rzymsko-katolicki pieczołowicie i dużym nakładem środków i wyremontował drewnianą cerkiew. Jest ona pięknie położona na brzegu Bugu, wśród starych drzew i nieopodal słupka granicznego. Korzystając ze sprzętania świątyni zostaliśmy wpuszczeni do wnętrza i przez chwilę kontemplowali ten miniony unicki świat. W tym samym Krzyczewie spotkał nas nieprzyjemny zgrzyt. Na krańcu wsi nad Bugiem zobaczyliśmy dwór, który robił wrażenie opuszczonego. W zarośniętym i zaniedbanym parku zobaczyliśmy mężczyznę, który dłużył coś przy betonowym słupku prawdopodobnie chcąc zbudować zegar słoneczny. Wobec stanu całkowitego zapuszczenia reszty dworu robiło to dość surrealistyczne wrażenie. Nasza uprzejma prośba o możliwość obejrzenia chociażby parku i widoku na rzekę spotkała się

z dość obcesową odmową prawdopodobnie nowego właściciela – jak dowiedzieliśmy się od znacznie bardziej rozmownych sąsiadów. Koleżanki i Koledzy! Jeśli drogi zawiodą was kiedyś do Krzyczewa omijajcie szerokim łukiem dwór i jego nieobyczajnego właściciela – niech nie niepokojony przez ciekawskich dłuży dalej przy swoim... gnomonie.

Przemykając pomiędzy kolejnymi opadami deszczu po szosie terespołskiej to bliżej to dalej od Bugu przez pagórki „Podlaskiej Szwajcarii” zobaczyliśmy na stoku wzgórza po lewej teren ogrodzony murem z polnych kamieni. Ani chybi cmentarzyk, ale jaki? Krótki postój wyjaśnia wszystko, to cmentarz wojenny z pierwszej wojny światowej i leżą tu polegli żołnierze

niemieccy – a więc tym razem protestanci. Na Podlasiu w czasie I-szej Wojny Światowej Rosjanie toczyli żaźarte walki obronne, aby nie dopuścić Niemców w głąb Rosji wspierając się o Bug i Twierdzę Brzeską. Cmentarz był bardzo zadbane. Armie niemiecka i austriacka znane były z dbałości o poległych, w przeciwieństwie do Rosjan, którzy na naszych ziemiach groby mają raczej tylko wtedy, jeśli pochowali ich... Niemcy. Do dzisiaj zresztą niemieckie towarzystwa kombatan-tów leżą na utrzymanie cmentarzy wojennych. Z pomocą Ali pocimy się nad napisem na cmentarnej tablicy, ale nasza znajomość niemieckiego jest zbyt słaba. „(...)tu spoczywają w śmierci...(?), „...towarzysze...(?)” – ot typowa nagrobna, wojskowa gadanina.





W całkowitej opozycji ideologicznej do kameralnych śladów unickich, pozostaje duży zespół monasteru w Jabłecznej. Na rozległych podmokłych łęgach stoją w typowej rosyjskiej manierze zbudowane: duża cerkiew z klasztorem i zabudowaniami gospodarczymi oraz na sztucznych nasypach wzniesione nad rzeką małe kaplice. W czerwcu, na dzień Świętego Onufrego, charakterystycznego dla wschodniej tradycji nagiego i brodatego pustelnika, przybywa tu chyba całe polskie prawosławie i mnóstwo innych widzów

na trwającą wiele godzin liturgię z kulinacyjną poranną procesją nad Bug. Mnisi z Jabłecznej z dumą podkreślają, że cały czas trwali przy prawosławiu, nawet kiedy cała diecezja chełmska, na której terenie znajduje się klasztor przystąpiła do unii! Z jednej strony podziwu godna wytrwałość, z drugiej dowód, że do unii nie przymuszano – klasztor mimo przeciwstawienia się swojej zwierzchności kościelnej trwał a nawet zachował swoje dobra. Mnisi ucierpieli fizycznie dopiero w czasie okupacji niemieckiej, kiedy jeden

z braci zginął śmiercią męczeńską w obronie płonącej cerkwi. W ten sposób mnich prawosławny stanął w jednym szeregu z męczennikami z Pratulina. Jak przykry dysonans brzmi zatem napis na tablicy umieszczonej na dziedzińcu klasztoru, którą każdy wchodzący musi zobaczyć: „(...) w rocznicę unii brzeskiej, krwawiącej rany w sercach prawosławia...”.

Kilka kilometrów za Terespołem z jego zespołem rojnych przejść granicznych, kolejkami tirów i ciekawym zespołem fortów przedmościa twierdzy Brześć, wycieczka zgodnie odbiła na zachód do następnego ciekawego miejsca o jeszcze bardziej egzotycznych skojarzeniach. Na skraju małego Lebedziewa, tuż przy szosie, na niewysokim zalesionym wzgórzu ukrył się cmentarzyk tatarski – mizar. Wygląda on doprawdy dziwnie, choć przypomina nieco żydowskie kirkuty. Nagrobki nie mają jednak jednolitej postaci macew, ale najczęściej to po prostu duże polne kamienie, porozrzucane bez wyraźnego planu wśród drzew. Gdyby nie kilka głazów wypolerowanych z jednej strony i pokrytych ledwo czytelnym arabskim pismem i znakiem półksiężyca można by się zastanawiać czy to w ogóle cmentarz. Wiara i kultura podlaskich Tatarów całkowicie już przeminęła, czy tak przeminą ślady po unitach?

Między Polską Białorusią i Ukrainą

Kolejny ulewny deszcz pada przez całą noc i znowu zagania nas pod dach mimo pewnego oporu Alicji, która ciągle ma nadzieję na biwak. Śpimy w domku kempingowym w Kodniu, w dawnym Ośrodku Wypoczynkowym PKP na terenie należącym jeszcze przed wojną do kolei. Wprawdzie stacja kolejowa „Kodień” pozostała po drugiej stronie granicy, ale przyczółek mostu i nasyp do dzisiaj służą administracji ośrodka.

Rano zwiedzamy Kodeń. Miasteczko choć pozostaje na uboczu jest ciekawe, jak wiele na naszej granicznej trasie. Na terenie dawnego zamku stoi niespotykany zabytek – piękna, gotycka cerkiew zamkowa z XVI wieku postawiona przez Sapiehów, gdy byli jeszcze prawosławni, a o unii kościołów

nikt nawet nie myślał. Potem zwiedzamy renesansowo-barokowy kościół Świętej Anny, który inny Sapiaha wznosił jako pomnik swojej już głęboko rzymsko-katolickiej dewocji. Dziwna to wprawdzie i typowo sarmacka była dewocja, kiedy kradło się obraz z kaplicy samemu papieżowi, żeby potem umieścić go w swoim własnym pielgrzymkowym sanktuarium.

W Sławatyczach możemy ponownie odwiedzić następne przejście graniczne oraz eklektyczny kościół i cerkiew stojące naprzeciw siebie odpowiednio po zachodniej i wschodniej stronie głównej ulicy. Po drodze mijamy pierwszego prawdziwego (!), to jest jadącego z bagażem, turystę rowerowego na naszej trasie. Sympatyczny Niemiec, wyposażony w przyczepkę, też widać jest zaskoczony tym niezwykle spotkaniem, bo po minięciu się z nami zawraca i za chwilę gościmy się wzajemnie w przydrożnym barze. Jedzie w przeciwnym kierunku do nas na północ, ostrzegamy go więc

o problemie z przekraczaniem Bugu, ale chyba nie zamierza tego robić. Miło było, ale czas w drogę, robimy sobie wspólne zdjęcia, literujemy nasze imiona i dalej do Włodawy. Ładną szosą, miejscami tuż przy samej rzece, jechałoby się dobrze, gdyby nie te ciągłe deszcze. Z tego powodu szybko mijamy piękną pounicką cerkiew w Haniu i niezbyt pilnie podziwiamy rozległe ruiny zespołu parkowego w Różance. Prezes asekuruje nas z pomocą swojej Toyoty – tym razem znalazł nam nocleg pod Włodawą, w Okuninie. To niezbyt ciekawe miejsce, z roku na rok ten lubelski „kurort” wydaje mi się coraz brzydszy, za to pojawia się coraz więcej miejsc noclegowych. Poświęcamy jeszcze trochę czasu na spacer po Włodawie z jej synagogami, cerkwią i monumentalnym barokowym kościołem Św. Ludwika, robimy zakupy i zaraz przekraczamy dawną granicę Litwy i Korony. Teraz jesteśmy już jakby bardziej w Polsce. Z punktu widzenia geograficznego wje-

**Po drodze
mijamy
pierwszego
prawdziwego,
to jest jadącego
z bagażem,
turyście
rowerowego na
naszej trasie**

chaliśmy już na Polesie, czyli część Wołynia. Mimo, że jesteśmy bezwzględnie o jakieś 50 m wyżej niż pod Niemowem teren jest spokojniejszy, niemal cały czas równinny.



Poranek jest trochę pogodniejszy, ale słusznie nie dajemy się zwieść pogodzie. Korzystamy z krótkiego słońca i znowu urządzamy sobie kulinarne święto z makaronu i konserw w środku lasów sobiborskich. Dzisiejszym celem pośrednim jest dotarcie do trójkąta granic Polski, Białorusi i Ukrainy. Okazuje się to prawdziwym wyczynem, bo prowadzący tam szlak rowerowy jest nim raczej z nazwy i chyba tylko w czasie suszy. Co chwila grzęzniemy w błocie i co mniej wytrwali (lub mądrzejsi) zsiadają z rowerów. Przechodząc przez wielkie kałuże docieramy wreszcie na miejsce. Nic nadzwyczajnego. W przecince widać za Bugiem ostatni słupek białoruski, zaraz dalej pierwszy ukraiński. Tylko wyobraźnia przypomina, że tam po drugiej stronie o kilka kilometrów znajduje się Szacki Park Narodowy z wielkimi czystymi jeziorami – obiekt naszych dawnych eskapad rowerowych na Ukrainę. Napotkani strażnicy sceptycznie wypowiadają się na temat dalszej drogi rowerami wzdłuż rzeki, ale jesteśmy uparci. Po następnej pół godzinie takiej terenowej trasy wyjeżdżamy wreszcie na lepszą drogę. Na przeciwko nas jedzie sznureczek rowerowych amatorów. Jasne, krótkie spodenki, białe skarpetki, panie z nie-nagannymi fryzurami i oczywiście żadnego bagażu. Mijają nas nawet bez zdawkowego cześć. Czyżby chcielijechać naszą trasą? Powodzenia – myśle, nie bez cienia złośliwości.

Za Wołą Uhruską, w której znajduje się kolejna cerkiew, zatrzymujemy się na dłużej w Hnyszowie. Po stojącym tu niegdyś ładnym drewnianym dworze pozostały tylko nikłe ślady. Za to ocalał przepiękny park, pełen ładnych okazów drzew i krzewów, które wiosną pięknie rozkwitły. Największym okazem w parku jest rosnący na jego skraju olbrzymi, rozłożysty dąb zwany Bolko, podobno drugi w Polsce po Bartku a na pewno od niego zdrowszy. Nie spiesząc się podziwiamy i dąb i park, spacerujemy sobie czytając nie zdewastowane jeszcze tablice informacyjne i cieszymy się krótką chwilę bez deszczu. Teraz niedaleko już do Dorohuska i Dubienki. Z równin Polesia wyrastają tutaj wyniosłości zwane Pagórami Chełmskimi, a dalej na

Prezes tym razem znalazł nam nocleg pod Włodawą, w Okunince. To niezbyt ciekawe miejsce, z roku na rok ten lubelski „kurort” wydaje mi się coraz brzydszy, za to pojawia się coraz więcej miejsc noclegowych



południe Grzędą Horodelską. Bug znowu wciną się głębiej i teren ponownie staje się bardziej urozmaicony. Znowu możemy podziwiać malownicze urwiska doliny koło Świerża. Jeszcze rzut oka na przejście graniczne w samym Dorohusku i wkrótce docieramy na zaplanowany biwak nad zalewem w Husynnem. Z daleka widać już między sosnami Toyotę Prezesa, wkrótce znowu staną namioty, zapłonnie ognisko, spróbujemy nawet pośpiewać do spółki z Alą mimo, że kanapki trzeba przed deszczem schować pod parasolem. Jesteśmy już trochę zmęczeni – to siódmy dzień naszej eskapady, w nogach prawie 400 km, ale nie odczuwamy bynajmniej zmęczenia. Do celu już niedaleko, gdyby tylko pogoda była nieco lepsza.

Koniec i co dalej

Kiedy ruszaliśmy rankiem akurat nie padało. Strzepujemy wodę z namiotów, żegnamy Prezesa, Kamilę i małego Adasia i wyjeżdżamy w kierunku Dubienki. Ozdobą Dubienki jest nieduża ceglana cerkiew i... czołg T34. Okazuje się, że to *deja vu* nieprzypadkowe – podobno tu też kościuszkowcy forsowali Bug. Kilkaset lat wcześniej sforsowali go w tym miejscu Rosjanie i patron kościuszkowców usiłował ich tutaj zatrzymać w nierównej bitwie – ironia historii. Pozostało nam jeszcze wielkie zakole Bugu i około 50 km do Hrubieszowa, gdy głośny huk oznajmił ponownie uszkodzenie dętki, oczywiście u Roberta. Wymieniamy dętkę, po czym stwierdzamy, że

przyczyną nie było przebicie dętki tylko uszkodzenie opony, która pękła samoistnie. Mogło być źle, bo nikt nie przewidywał takiej awarii, ale jak z pod ziemi zjawiał się Prezes i niczym Święty Mikołaj obdarował nas zapasową oponą – wieszować pomysłu.

Zjeżdżamy do Horodła, miasteczka upamiętnionego unią między Polską a Litwą, ale jedynym śladem unii jest tu tylko mały kopiec usypany w polu przy wjeździe. Na zarośniętym grodzisku, którego urwisko podmywają wody Bugu stoi następny słupek graniczny – nieodłączny towarzysz naszej podróży. Jemy obiad w barze i wkrótce docieramy do Zosina. Trzeba się tu koniecznie uwiecznić na fotografii – jesteśmy w najbardziej na wschód wysuniętym punkcie Polski. Już dalej na wschód w Polsce pojechać nie możemy, jest w tym coś symbolicznego. To jakbyśmy byli na półwyspie pozostałym z tej dawnej przedwojennej, wielonarodowej Polski, który wciska się w terytorium Ukrainy dla przypomnienia dziejów.

Teraz wracamy na zachód. Po ostatnim noclegu opodal Strzyżowa decydujemy się zakończyć etap na lekko,

zostawiamy bagaże i przez Hrubieszów jedziemy do Gródka. W drodze powrotnej oczywiście próbujemy skrótu i wpadamy w tak lepiące błocko, że momentami nie można jechać. No cóż, to właśnie urodzajny less hrubieszowski – kontemplujemy czyszcząc rowery z błota. Dojechaliśmy wreszcie pod grodzisko Wołyń – to samo miejsce, z którego wyruszyliśmy rok temu, choć nie takie samo. Wtedy wieczór był chłodny, ale słoneczny. Teraz było pochmurno i dżdżysto, a skład ekipy ledwie podobny. Staram się o jakieś minimum oficjalności, składam gratulacje Ali i przede wszystkim Mariuszowi, który jedyny był ze mną rok temu na całej trasie I-szej edycji. Dziękuję oczywiście wszystkim obecnym i zapraszam ich znowu za rok.

Siedząc przy ognisku w Hołźnie u niezawodnej Ali, podsumowujemy tegoroczną imprezę. Ale jak zwykle, myślami jestem już gdzie indziej, tam gdzie nasze rowery powiozą nas w roku 2009. Czy dojedziemy z Białowieży do Węgorzewa, a może nawet do krynicy Morskiej? Kto pojedzie z nami i kiedy? Jaka będzie pogoda? Nie wiem. Ale na pewno wiem, że będzie ciekawie.

**Myślami
jestem już
gdzie indziej,
tam gdzie nasze
rowery powiozą
nas w 2009 r.
Czy dojedziemy
z Białowieży
do Węgorzewa,
a może nawet
do krynicy
Morskiej?**

Fotografowali: Piotr Paprzycki, Mariusz Nowak, Robert Kieszko, Paweł Krawczyk, Alicja Rokicka

